

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



S. Matusiak.

Koń w naszych wierzeniach ludowych. ⁶⁾ (dok.)

Oto w dzień św. Szczepana, ledwo świt, zjeżdżają się włościanie okoliczni konno do Królówki, wsi w pow. bocheńskim, słynnej urodzeniem Kazimierza Brodzińskiego, gdzie u człowieka biegłego w tych czasach odbywa się puszczanie krwi koniom z podniebienia. Specjalnie do tej czynności przeznaczonem narzędziem, zwanem puszczadło, przecina ten lekarz koniowi podniebienie zaraz za zębami, a gdy krwi sporo upłynie, zaciera ranę solą i koń dostaje owsa. Nazywa się to czyszczeniem koni, a ma je zabezpieczać przez rok od wielu chorób ¹⁾.

Nie umiem powiedzieć, czy jeszcze gdzie taki zwyczaj istnieje i jak on jest dawny, ale okoliczność, że odbywa się w święta Bożego Narodzenia i że ma zabezpieczać na cały rok zdrowie zwierzętom, naprowadza na myśl, że i ten zwyczaj należy połączyć z wyobrażeniami, o jakich wyżej była mowa.

4. Narok.

Powiedzieliśmy na wstępie, że przodkowie nasi wróżyli za pomocą konia czyli żreba, otóż dodać winniśmy, że nie był to u nich jedyny sposób wróżenia, wróżyli bowiem, podobnie jak Grecy i Rzymianie, także na różne

inne sposoby, jak np. za pomocą rzucania losów, jak lotu ptaków, jak z wnętrzości zwierzęcych i t. p. ¹⁾ To, co wróżba orzekła w ten czy inny sposób, uchodziło u przodków naszych za nieodwołalną wolę bożą i zwało się rokiem, wyrokiem, narokiem bożym. Ten ostatni wyraz już w epoce prasłowiańskiej stał się technicznym na oznaczenie tego nieodwołalnego wyroku bożego, postanowienia bożego, sądu bożego, losu, który bogowie komuś lub czemuś przeznaczyli, a więc także przeznaczenia, doli; słowem narok przybrał u Słowian już w odległej starożytności te wszystkie znaczenia, które ma łaciński wyraz *sors* (los), a więc także znaczenie tego, co ktoś losem przy podziale mienia ruchomego lub nieruchomego otrzymał. Jak więc łacinnicy nazywali *sors* także ten kawał lub obszar ziemi, który ktoś otrzymał losem przy podziale spadku lub przy kolonizacyi, tak samo Słowianie nazywali to narokiem. Tak się rzecz ma u nas jeszcze w XIII wieku, kiedy to np. pod r. 1242 czytamy: „Z ziemi do 20 wielkich pługów wynoszącej, która w mowie pospolitej zowie się narok („de terra ad viginti aratra magna, que narok a vulgo dicitur“); kiedy to ludzi, na takich narokach osiadłych, zwiemy narocznikami ²⁾. Przez to całkiem naturalna: jak ła-

¹⁾ Zob. moją rozprawę: *Wieszczba i żreb* l. c.

²⁾ Zob. *Kodeks dypl. pol. wyd. Ryszczewskiego i Muczkowskiego*, III, 15, 29, 455.

¹⁾ Lud, X, 450.

cinnicy zamiast rozpowiadać długimi słowy: to jest ten kawał ziemi, który przy podziale otrzymałem losem; to jest ten kawał ziemi, który mój brat otrzymał losem; to jest ten kawał ziemi, który moja siostra otrzymała losem i t. d., poczęli z czasem wyrażać się krócej: to jest mój sors, to jest sors mojego brata, to jest sors mojej siostry: tak i Słowianie zamiast dłuższych wyrażań: to jest ten kawał ziemi, który otrzymałem z naroku; to jest ten kawał ziemi, który mój brat otrzymał z naroku; to jest ten kawał ziemi, który moja siostra otrzymała z naroku i t. d., poczęli z czasem używać krótszych: to jest narok mój, to narok brata, to narok siostry. Tym sposobem wyraz narok począł z czasem oznaczać ziemię, którą ktoś otrzymał losem ze spadku przypadającego mu, albo też losem przy kolonizacyi.

Ponieważ zaś narok zdobywało się za pomocą żreba, losu i t. d., więc zamiast mówić: narok nakazuje lub zakazuje to a to czynić, można było powiedzieć także: żreb nakazuje lub zakazuje to a to czynić; los nakazuje lub zakazuje to a to czynić! Tym sposobem wyraz żreb, oznaczający pierwotnie konia, stał się synonimem naroku i losu i mógł być zamiast nich używany. Stało się to już w epoce prasłowiańskiej i stąd to w wielu językach słowiańskich wyraz żreb dzisiaj jeszcze oznacza los, dolę. Stąd u nas jeszcze w XIII wieku wyraz żreb, jak historykom wiadomo, oznacza, tak samo jak narok, to, co ktoś z ziemi otrzymał losem w spadku lub przy kolonizacyi z rozdzielonego pomiędzy kolonistów obszaru.

Ten odwieczny narok, tak ważną niegdyś odgrywający w naszym życiu rolę, przechował się w naszym ukochanym języku po dziś dzień. Niepodobna szczegółowo na tem miejscu rozpowiadać o wszystkich tych znaczeniach, w jakich się dotąd przechowuje, ale dla ciekawości warto wspomnieć choć o niektórych.

Ś. p. H. Łopaciński w „Przyczynkach do słownika polskiego“¹⁾ takie między innymi podaje znaczenie wyrazu narok z różnych współczesnych źródeł: 1) naroki to loty czyli lotki w skrzydłach ptaków; 2) potrawa, podobnie jak flaki sporządzona z ksiąg i kiszek jelenia, daniela, sarny; 3) wnętrzości.

Jak do tych znaczeń wyraz narok przy-

szedł, łatwo zrozumieć po tem wszystkiem, cośmy wyżej powiedzieli. Kto mianowicie wróżył często z lotek ptasich, mówił: narok z lotek (lub której narok rozumie się z lotek) mówił to a to, albo: lotki mówią to a to, skutkiem czego narok stał się synonimem lotek i odtąd zamiast lotki poczęto mówić naroki. Kto zaś wróżył często z wnętrzości zwierzęcych, powiadał: narok z wnętrzości lub krócej narok (rozumie się z wnętrzości) a mówi to a to, albo: wnętrzości mówią to a to, skutkiem czego narok stał się synonimem wnętrzości i odtąd zamiast wnętrzości poczęto mówić naroki.

Wyraz naroki, jako z biegiem czasu mało już etymologicznie jasny, zmieniono w niektórych stronach na narogi. Wspominamy o tej bagateli, gdyż o tych narogach taką znajdujemy ogromnie ciekawą wiadomość w słynnym swego czasu i na całą Polskę znanym „Przyjacielu ludu“, wydawanym w wielkopolskim Lesznie (t. VIII, nr. 26, str. 206 z roku 1841), wiadomość, podaną przez znakomitego znawcę naszego myśliwstwa w artykule „O łowach“. Mówiąc o odprawie, która następuje „na końcu polowania po uszczwaniu w polu lub zabiciu w kniei zwierza“, znakomity myśliwy rozpowiada dalej: „Odprawa np. jelenia odbywa się z wielką ceremonią. Łowca (przewodniczący łowom) podawał kordelas temu, na czyją cześć święcono łowy; solenizant robił w krzyż nacięcie na piersi zwierza, myśliwi (tak zwali się zarówno amatorowie łowów, jak i służebni strzelcy — tu oczywiście ma autor na myśli tych ostatnich) dobywali trzewie, część pośledniejszą oddawali psiarni, a z szlachetniejszej, zwanej narogi, sporządzali przysmak myśliwski. Odprawą zajęcia były trzewia i tylne skoki dla gończych (psów). Psy więc nie przychodziły do dojeżdżacza z odprawą lecz po odprawę“. Myśliwi nasi przed wiekami, zabijwszy tedy np. jelenia, wydobywali z niego wnętrzości, a oddawszy pośledniejsze części psom, ze szlachetniejszych części wróżyli czyli wydobywali naroki i części te potem, odpowiednio przyrządziwszy, jako przysmak zjadali, skąd naroki w znaczeniu „potrawy, podobnie jak flaki, sporządzanej z ksiąg i kiszek jelenia, daniela i sarny“.

Więc może nie będzie przesadą, jeżeli artykuł ten zakończymy słowami: takie to nieocenione skarby odwiecznych wspomnień i tradycyi mieszczą w sobie niejednokrotnie nasze wierzenia i zwyczaje ludowe.

¹⁾ Prace filologiczne, V, 802.



Wzmianka o Bazalii na Wołyniu.

Trzeba też wiedzieć, że Bazalia czas jakiś była miastem powiatowem, chociaż bardzo to krótko trwało.

Mianowicie w 1795 roku uczyniono rozgraniczenie nowych gubernii i w skład owoczesnej gubernii podolskiej weszły takie miasta powiatowe: Uszyca, Wierzbowiec, Gródek, Zińków, Latyczów, Płoskirów, Stary Konstantynów, Bazalia i Jampol, wołyński teraz. Herb powiatowego miasta Bazalii tak wyglądał: w polu błękitnem dwie ręce wzajemnie sobie podane, położone na towarach, złożonych w dwóch srebrnych worach związanych. Miało to niby oznaczać, że za dawnych wieków kupcy z Rosyi przyjeżdżali do Bazalii i handel tam prowadzili znaczny.

W lipcu 1797 r. powstało t. zw. namiestnictwo izasławskie, i jak się zdaje, Bazalia wtedy przestała być miastem powiatowem; namiestnictwo to istniało kardzo niedługo i powołano do życia gubernię wołyńską z powiatem już starokonstantynowskim, do którego weszło terytorjum dawnego powiatu bazalijskiego, i Bazalia została znowu lichem tylko miasteczkiem, przeważnie żydowskiem.

*

Fundatorem kościoła bazalijskiego był wyżej wspomniany Wasyl Bazyli, książę na Ostrogu, wojewoda kijowski (Konstantym też nazywany). Przy częstych napadach tatarskich i pożarach oryginał tej fundacyi nie mógł dojść do nas; znana jest tylko kopia późniejsza, tłómaczenie raczej, z której wnioskować można, że we wrześniu 1586 r. kościół już ukończono p. w. Trójcy Przenajświętszej; „na wychowanie zaś ks. plebanowi teraz służącemu i napotym będącym“ przeznaczył wojewoda kijowski z myt bazalijskich rocznie złotych 16 i sukna „suprofina“ na każdą Wielkanoc łokci 6, licząc łokieć każdy po groszy 40 litewskich; nadto — dziesięcinę od mieszczan i ziemian „też wiary będących“ z ich paszni oddawać kościołowi kazał. Z tego wypływa, że już w owych czasach istnieli tam katolicy.

W XVII w. nastąpiły nowe upo-

sażenia (np. Adama Wilgi) i wiadomo, że wtedy już kościół posiadał własny folwark w mieście; pierwotny zaś zapis księcia na Ostrogu w XVIII w. zredukowano do 300 złotych rocznie. Pierwsza świątynia była drewniana „przed zamkiem, pośród prawie rynku, pomiędzy domami chrześcijańskimi i żydowskimi“. Trudno teraz oznaczyć, gdzie się to miejsce znajdowało. Kościół ten zgorzał d. 1 lutego 1759 r. i proboszcz miejscowy, ks. Broniszewski, natychmiast zbudował drewnianą, a dinterim, kaplicę dla użytku wiernych, a potem wymurował ją pod wezwaniem św. Rocha. Jak się zdaje, owa czasowa kaplica stanęła na tem miejscu, gdzie stał pierwszy kościół, a murowana niedaleko od Stuczy, od miasta ku południowi, frontem z przeciwnej strony rzeki; tego frontu resztki widoczne jeszcze były w ostatniej XIX w. ćwierci. Na nowy kościół wybrano miejsce



WIELKI OLTARZ W KOŚCIELE W BAZALII NA WOŁYNIU, POW. STAROKONSTANTYNOWSKI.

przy dawnym ogrodzie plebańskim, „dość dobrze od rynku oddalonym“; grunt dali Sapiehowie, pamiętający o potrzebach tej nowej świątyni. Ks. Broniszewski zmarł w 1780 r. i sam wszystko ukończył ważniejsze około tego nowego Domu Bożego, a Sapiehowie uposażyli, chociaż były też zapisy innych ziemian i obywateli okolicznych, a także proboszczów tej parafii.

Proboszczów tych z XVII w. znamy tylko 2: ks. Jakóba Klebdę, ok. 1646 r., jednocześnie dziekana zbaraskiego, i ks. Marcina Domaniewskiego około r. 1666, o którym zapiski kościelne głoszą, że *multa acquisivit*. Więcej już ich mamy w XVIII stuleciu: do r. 1721 — ks. Stanisław Drzewiecki, *curatus, canonicus camenecensis*; pomiędzy rokiem 1721—1758 — ks. Wojciech Wąsowski, kanonik ołycki, dziekan, zbaraski; zaraz po nim — ks. Andrzej Mikołaj Pomian Broniszewski, kanonik inflancki, żmudzki, dziekan zbaraski, który zbudował nowy kościół, *vir praestantissimus*; potem ks. Józef Eustachy Dziegcioński, z miejscowej szlachty, ex-jezuita, kanonik kijowski, posiadający własną schedę w Bazalii, pożyteczny bardzo pracownik; przeniósł się do wieczności 10 marca 1814 roku; jego następcą był ks. Michał Lissowski, zmarły w Bazalii po roku 1833; ks. Paweł Bogacki 1840—1866; ks. Ignacy Niwiński 1867—1894; ks. Teodor Czarnecki od 1894 r. do 1897; po nim ks. Józef Ptaszyński.

Szereg znanych wikaryuszy przy końcu XVIII w. rozpoczyna ks. Franciszek Borgiasz Mackiewicz (ur. 1765 r., wyświęcony 1789), potem biskup kamieniecki.

Na początku XIX w. pomiędzy wikaryuszami znajdujemy niemało unitów, którzy „swojej władzy podlegają, a poczytują za najwyższą łaskę, że własnych w tej okolicy cerkwi nie mając, mogą za indultem łacińskiego pasterza odprawiać sakramentalne ofiary i posługi używać ludowi swego grecko-unickiego wyznania“.

Dochody bywały rozmaite; w XVIII w. i do r. 1842 kościół posiadał własną jurydikę z poddanymi i ziemią, procenty od sum różnych zapisowych, więc położenie było lepsze; potem zaczęło się pogarszać, nawet przed rokiem 1842. I tak w 1799 roku wykazano dochodu około 3,200 złp.; w 1812 roku już tylko 2,800 złp., w 1836 — 2,600, lecz w 1842 znowu—2,800; potem — gorzej.

Szkółka parafialna w Bazalii musiała już istnieć w XVII wieku; widzimy to z testamentu ks. Jakóba Hebdy, proboszcza miejscowego, bo jest tam wspomniany bakałarz i zapis na studentów, „którzy się nie majączem gnarować“. Dalsze jej losy w tem stuleciu i następnem — nieznanne; aż dopiero w r. 1791 znajdujemy o niej wzmiankę; ks. Dziegcioński bardzo o nią dbał i miał staranie; około roku 1810, jak się zdaje, musiała ona upaść dla braku uczniów, a także dlatego, że nie miała stałych funduszków, chociaż był dom na nią przeznaczony, lecz zabrano go potem na magazyn wojskowy i powrócił do właścicieli zrujnowany zupełnie, potrzebując już znacznej i kosztownej reparacji, która, jak się zdaje, nie przyszła do skutku. Około roku 1860 szkołkę wznowiono i dopóki można było, to ją utrzymywano staraniem proboszcza, a nadewszystko jej kuratora honorowego Władysława Żukowskiego z Bogdanówki, sąsiedniego obywatela, zacnego i wzniosłych uczuć człowieka, który rozumiał doskonale wielką potrzebę takiej instytucji.

Statum animarum znamy dopiero przy schyłku XVIII wieku: w 1791 roku liczono parafian płci obojga 4,905, do sakramentów przystępujących 3,784, małoletnich 1,121. W osiem lat potem — 6,952. W r. 1809 zaznaczono katolików 5,642; mężczyzn dorosłych 1,745, niewiast takich 1,749, małoletnich chłopców 1,118, dziewcząt 1,031; ochrzczonych od 8 paźdz. 1808 r. do 1 września 1809 płci męskiej 89, żeńskiej 82, zaślubionych par w tym czasie 79, umarło mężczyzn 81, kobiet 82. Tamże powiedziano, że ludność katolicka tej parafii rocznie się zmniejsza z powodu wynoszenia się stamtąd t. zw. szlachty czynszowej, a najbardziej dlatego, że w mieszanych małżeństwach wszystkie dzieci zabierane są do panującego wyznania. W r. 1812 wiernych 3,465, a 1826—4,459, 1833—4,459; w 1842 — 4,686; w 1861—4,178; mężczyzn 2,015, kobiet 2,163. Po zabraniu parafialnego kościoła w Ożohowcach, część tej parafii przyłączono do Bazalii, więc w 1866 r. liczono tu wiernych 5,700. Na początku XX w. — 5,961. Rubrycelą na 1909 r. podaje katolików tej parafii z górą 6,000, ale już przy końcu XVIII w. było ich prawie (na mniejszym obszarze) 7,000; wtedy np. w takiej Bogdanówce liczono katolików 409, a teraz 160...



Wsie Stwoszków na Śląsku.

Walka o polską narodowość Stwosza, podjęta lat temu sześć, jest ukończona¹⁾. Kto ciekaw szczegółów tej walki, prowadzonej dokumentami i źródłami dziejowemi, tego muszę odesłać do książki mojej „Rewindykacje własności naszej”. Z całego szeregu dokumentów wspomnę tu tylko, że kto jest, jak mówi Neudörffer „z Krakowa rodem“, kto, jak mówi list z r. 1506, niemieckim językiem bardzo lichy włada, kto swoje nazwisko podpisuje własnoręcznie, a jedynie i wyłącznie brzmieniem: „Stwosz“, ten nie może być Niemcem, bo takiego zestawienia spółgłosek nie zna i nie ścierpi niemiecka filologia, bo takie brzmienie Niemiec tylko z wielką trudnością wymówić jest w stanie. Nie może być Niemcem ten, którego bratanica zwie się w dokumencie „Hanuchna“, nie może być Niemcem Stwosz, którego w Norymberdze zowią Polakiem, który jak to świadczy niemiecki historyk sztuki Reicke w Norymberdze polski strój nosi i polskie obyczaje zachowuje. Nie jest Niemcem ten, którego fałszyfikat dokumentu maryackiego zwie *Vitus Almanus de Norimberga*, dlatego, bo współczesny *Samuel Hartlieb Lituanus* nie był wcale Litwinem, bo współczesny *Croatius de Croatia Ungarus* nie był wcale Węgrem, współczesny *Boleslawita Almanus* nie był wcale Niemcem ani Alemanem, i tak *Stwosz Almanus* jak i *Boleslawita Almanus* byli najczystszej wody Polakami. Nie mogą być Niemcami Stwosze. Nie mogą być nimi dworzanie Łokietka Stwosze dlatego, bo ten straszliwy pogromca niemieckiego Krakowa nie ścierpiałby u siebie Niemców na dworze, ci zaś dworzanie Łokietka Stwosze w swych łacińskich dokumentach polskimi zwrotami do nas przemawiają. Nie mogą być Niemcami szlachcice Stwosze z Olbrachcic, Piotrowic, Branic, Elgot i Jankowic dlatego, bo oni w średniowieczu w XV wieku swoje dokumenty przeze mnie ogłoszone po polsku piszą i myśli swoje po polsku wypowiadają. Nie była niemiecką sztuką Stwosza, bo przed Stwoszem żadnej niemieckiej sztuki nigdy nie było, bo w Niemczech

była tylko napływowa sztuka, bo sztuka Stwosza nie mogła być zaczerpnięta z owej artystycznej studni, w której wody nie było, bo ta sztuka Stwosza wzrosła, jak to mówi Niemiec Thausing i znakomity Niemiec Robert Vischer na podłożu sztuki francuskiej i niderlandzkiej, bo Stwosz w swym sarkofagu Jagiellona, jak to Niemiec zauważa, jest Niderlandczykiem, bo on w swych reliefach „Pojmanie“ i „Zmartwychwstanie“ jest, jak to Niemiec Lossnitzer stwierdza, Niderlandczykiem, bo on w reliefie „Ukrzyżowanie“ jest, jak tenże pisarz zauważa, Francuzem i paryżaninem, bo Stwosz w ogóle w swej sztuce był, jak to tenże Robert Vischer mówi: *Pole oder Franzose*, czyli Polakiem lub Francuzem. Słowem, że niemieckości Stwosza nie obroni już nic, w tę niemieckość nie wierzą już, o czym poniżej, najskrajniejsi szowiniści niemieccy, w tę niemieckość wierzą tylko niektóre nieostrożnie redagowane pisma warszawskie, które, otrzymawszy z Krakowa gratisowy artykuł, z bohaterstwem krakowskie powagi ratują. I jest ta narodowość Stwosza w warszawskich pismach nie wykazaną lecz wyżebraną. Spełniło się czyn miłosierdzia, boć straszne jest położenie powagi, która trzydzieści lat bąjała o Niemcu Stwoszu, a dziś tonąc i wstydząc się przyznać do błędu, chwyta się takiej brzytwy jak zwalenie z siebie odium na warszawskiego redaktora.

W niemieckie pochodzenie Stwosza nie



WSIE STWOSZÓW NA ŚLĄSKU.

Mapa granic narodowości na Śląsku z r. 1910 kalokowana z karty: Sprach und Schulkarte Mähren und Schlesien, entworfen von dr. Franz Perko, gezeichnet von Otto Perko. Przestrzenie pokryte kreskami to ziemie zamieszkałe przez Niemców w r. 1910, w średniowieczu na tych przestrzeniach nie było śladu Niemców. Linia strzałami zakończona to granica języka polskiego i czeskiego, wykreślona na tejże karcie dr. Franc. Perko. Wsie Stwoszków podkreślone.

¹⁾ Wobec biegunowo przeciwnych wniosków dr. T. Szydłowskiego w pracy jego o Wicie Stwoszu kwestyi tej za skończoną uważać chyba nie można. Ale właśnie dlatego pożądana jest dalsza dyskusya, której miejsce w piśmie swem dajemy.

wierzy już najskrajniejszy szowinista niemiecki dr. Maks Lossnitzer. Wielka monografia o Stwoszu, którą napisał, to symfonia rezygnacji. Podaje twierdząc p. Lossnitzer, lecz jako rycerz nieustraszony a smutny nie poddaje jej bez strzału. Owszem strzela. A nuż się argument uda? Załamuje ręce nad pochodzeniem Stwosza i pyta się zrozpaczony: *War Stoss ein polonisierter Schlesier?* Czyż Stwosz był spolonizowanym Ślązakiem? Mógłbym go zbyć pytaniem czy istnieje na świecie jaki zitalianizowany Neapolitańczyk, zrusyfikowany Rosyanin, lub zgermanizowany Bawar? Ale niechętnie posługuję się dyalektyką. Odpowiadam mu dziś na jego pytanie mapą. Oto teraz graficzny a na niemieckiej mapie oparty dowód, do jakiej narodowości należeli Stwosze.

Mapa nasza, zaopatrzona podpisaniem pod nią objaśnieniem, komentarzy nie potrzebuje. Czytelnik widzi główne średniowieczne gniazda rodowe Stwosów, a mianowicie Olbrachcice, Branice i Piotrowice. Leżą one na rdzennie polskiej i czysto polskiej ziemi. Tutaj mieszkali

owi średniowieczni Pietrzyki Stwosze, Pawliki, Żerochy, Oldrzychy, Jarosławy, Jarocze, Dzierzki, Stanisławy, Wisławy i Bogusławy Stwosze, których książka nasza na jaw wywiodła. Oprócz tych gniazd głównych przebywają Stwosze i w innych wsiach Śląska i W. Ks. Poznańskiego, rzadziej w dokumentach wspomnianych a na naszej mapie niewidocznych. Dla ścisłości i dla rozproszenia wszelkich wątpliwości spisuję tu wszystkie wsie, choć ubocznie ze Stwoszami w dokumentach związane. Stwoszowskie Domosławice leżą w powiecie człuchowskim. Szczycina w powiecie obornickim na północ od Poznania, Kunice w obwodzie lignickim, Targowica w obwodzie wrocławskim, Pomorszczowice, Laskowice, Paczków, Zalesie w powiecie polskim. Zatem na odwiecznie polskiej ziemi Stwosze w XV wieku swoje dokumenty, jak wspomnieliśmy, wyłącznie w polskim języku piszą. Tak w świetle niemieckiego geografa wyglądają owi „spolonizowani Ślązacy“ Stwosze, mieszkańcy Olbrachcic, Piotrowic i Branic.



Stanisław Zuber.

Pasmo skałek Pienińsko-Nowotarskich. ¹⁾

I.

Przenieśmy się myślą w słoneczną dolinę Popradu, tam, gdzie rzeka, dążąc ku przelomowi w Karpatach, skręca na północ pod Orłowem i Pławcem.

Jej wody wiją się niespokojnie po węgierskiej stronie, jakby w przeczuciu ciężkich wyśiłków, a niemałe to zadanie przebić się przez szeroki górski wał...

I oto widzimy, jak ów Poprad wpada niżej Pławca w głęboki wąwóz, by przebyć Karpaty Żegiestowa i Piwnicznej. Spotykamy go znowu, gdy w kotlinie Nowosądeckiej łączy się drugim rzeźbiarzem gór, z Dunajcem.

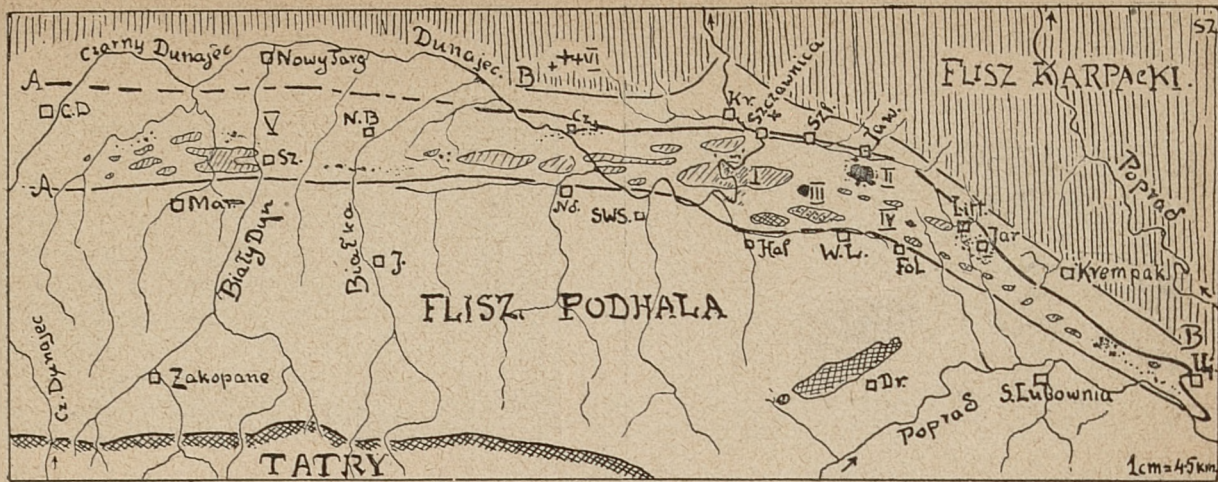
*

Któż nie zna Pienin, nie słyszał o Czorstynie i Niedzicy lub Lubowni na Śpiżu?

Czytamy często opisy wycieczek „Dunajcem w Pieniny“, słyszymy o Trzech Koronach, Czerwonym Klasztorze, wiemy z dziejów, iż tędy wiodły ważne drogi ku Węgrom, znamy historię Śpiżu — by więc dopełnić obrazu, zajmmy się przyrodą pasma wzgórz i skał, omówimy niezwykle zjawiska w krajobrazie okolic przelomów Dunajca i Popradu.

Pierwszą cechą, która zwróci uwagę każdego, jest jakieś dziwnie zagadkowe i niespodziane występowanie skałek.

Najlepiej uwydatni się ono przed naszymi oczyma, gdy idąc z północy od Piwnicznej lub Rytra ku granicy węgierskiej, wydostaniemy się na któryś z pologich i trawiastych grzbietów, gdzie gładkie pasmowe góry zamykają widok. Przeszedłszy nieco dalej ku południowym zboczom, ujrzymy w szerokiej dolinie srebrzystą wstęgę Popradu, który opuściliśmy niedawno.



rys. Stan. Zuber.

SCHEMATYCZNA MAPKA SKALIC PIENIŃSKO-NOWOTARSKICH.

Objaśnienie znaków: 1) wapień tatrzańskie, 2) skałki facies wapienia rogowcowego, 3) skałki facies skamielinowej, 4) zlepienie eoceński, 5) anderyt, 6) flisz karpacki.

Linia A—A oznacza granicę skalkowych utworów.

B—B zasięg warstw pasa granicznego.

I. Pieniny ok. 980 m. II. Małe Pieniny. III. Rabsztyn 899 m. IV. Wysokie Skałki 1052 m. V. Skałki Nowotarskie ok. 800 m. VI. Góra Wzár pod Czorsztynem 768 m.

Skróty: C.D. — Czarny Dunajec; Cz. — Czorsztyn; Dr. — Drużbaki; Fol — Folwark; Hal. — Haligowce; J. — Jurgów; Jar. — Jarembina; Jaw. — Jaworki; Kr. — Krościenko; Litt. — Littmanowa; Mar. — Maruszyna; N.B. — Nowa Białka (Uj Béla); Nd. — Niedzice; S.W.S. — Stara Wieś Śpiska; Sz. — Szaflary; Szl. — Szlachtowa; Uj. — Ujak; W.L. — Wielki Lipnik.

Na zachodzie sinieją majestatyczne Tatry...

Rozejrzawszy się w krajobrazie, spostrzeżemy rozrzucone jakieś skałki, bloki kamienne, gdzieś tam znów drobne ugory, jakby tam gleby po polach brakło. Owe osobliwe twory ziemi zdają się mnożyć w oczach, bo oto za zbliżeniem się naszym widzimy coraz więcej tych pagórków kamiennych i zrębów skalnych, a co ciekawsze, ciągną się one pasem nie szerszym nad 3—4 kilometry!

Byliśmy przed chwilą na grzbiecie. Widzieliśmy piaskowce i łupki ilaste—stoimy obecnie na gruncie wyraźnie marglistym, więc nasuwa się nam pytanie — jaki związek zachodzi pomiędzy owymi czerwonymi lub białymi wapieniami, a marglem otoczenia.

Uderza nas nowy szczegół; wapień skałek są świetnie uwarstwowane i co ciekawsze zapadają dość regularnie na południe.

Idziemy nieco dalej, ku wschodowi.

Skałki są tu coraz większe; mamy już nie oddzielne głazy, lecz pagórki skaliste; tu i owdzie występuje odosobniona turnia, która oparła się niszczącym wpływom erozyji.

Gdzieś za ruinami zamku luboweńskiego zaczyna pas skałek zwęzać się, by zniknąć, gdy dojdziemy do Popradu i ruin w Pławcu.

Nie koniec tam jednak skalicom. Zjawiają

się one znowu w Szaryszu i docierają daleko na wschód, o czym jednak później.

My wróćmy do Jarembiny i Littmanowej, gdzie ujrzelśmy po raz pierwszy skałki, porzucane jakoby po zboczach wzgórz.

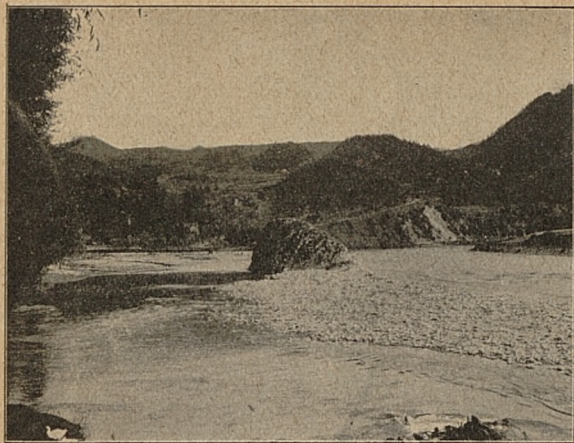
Posuwajmy się teraz ku zachodowi.

Tu coraz więcej wapieni. Rozsypane po polach oglądane nieco „okruchy gór“ zaczynają powoli łączyć się ze sobą. Spotykamy skałki poważne swą miąższością. Pokrywa je las i tylko gdzieś tam z poza smreków wyglądają na świat iglice wapienne lub szczyrbate niby ruiny.

Lasy tych okolic mają dziwny wygląd. Zachowały się dzięki terenowi niedostępnemu dla uprawy; brak im gęstości i rozprzestrzenienia. Drzewa tworzą przeważnie nieznaczne skupienia około skałek, więc mamy góry zwykle dość połogie, a na nich ciemne plamy skalowych gajów widoczne świetnie w zimie, gdy śniegi pokryją górskie polany i łąki Podhala.

Nie spotkamy tu dwóch form krajobrazu podobnych do siebie: od wschodu widzimy połogie zbocza, zasiane setkami wapiennych złomów, gdy skałki szczawnickie pokryte są kępami drzew, wspinających się po dziwnie wyrzeźbionych skalicach.

Gdzie spojrzymy, mamy coraz inne postacie górskie, jak smukłe grzbiecie i iglice skry-



DUNAJEC NIŻEJ PIENIN.



PIENINY POD KARCZMĄ CSAROLA. WAPIENIE ROGOWCOWE.

fot. St. Zuber.

Skąła w rzece należy do facies skamielinowej, gdy góry na prawo składają się z rogowych wapieni.

te wśród świerków, wapienne ściany, gładkie, opłukane przez wody potoków lub porzrzucone i jakby połamane płyty skalne.

Gdy minimy słynne „Małe Pieniny“ Jaworek i Szlachtowej, gdzie mamy najpiękniej rozwiniętą a zarazem niezwykle skomplikowaną budowę terenu, znajdziemy się na grzbiecie między Wysokimi Skalkami (1052 m.) a Rabsztynem (899 m.). Stąd niedaleko już do Pienin właściwych, gdzie dojdziemy zaraz po przejściu przez Leśnice.

Postępujemy doliną Leśnego potoku. Stoki zrazu gładkie i trawiaste przechodzą nagle w skaliste i przepastne zbocza tam, gdzie kończą się warstwy osłony skałkowej. Witają nas Pieniny...

Popatrzmy chwilę na te skały, znane nam z opisów i fotografii, na wapienie pozwijane i sfałdowane w jakichś dziwacznych a potężnych kataklizmach. Posłuchajmy szumu Dunajca, gdy przełamując się przez góry, rozbija się o przepaści Trzech Koron i Sokolicy, i idźmy dalej, opuśćmy Pieniny, bo zdala je trzeba oglądać!

I oto stoimy koło Niedzicy; o parę kilometrów na wschód widać szare iglice Trzech Koron, od nich na prawo mamy znów pologie, niskie stosunkowo zbocza i grzbiec ty karpackie.

Północ zasłaniają nam wzgórza pokryte rzadkim lasem, gdzie pełno zdradliwych rozpadlin, typowych dla wapiennych skałek.

Niedaleko sięga ich panowanie, bo prze-

niósłszy się między Niedzicą a Czorsztynem na prawy brzeg Dunajca, ciągną się coraz bardziej malejąc, coraz bardziej rozrzucone, by wreszcie rozsypać się w pasemka gruzów koło Krempaku i Dumłyna.

Nie tu jednak koniec skałkom, następuje mała jedynie przerwa. O ich wystające zręby rozbija się znów Białka, szumiąc po granitowych głazach niesionych z Tatr, a skalice śmiało opierają się wszechmocnej erozji. Tu kończą się większe wzgórza. Jesteśmy na Podhalu Nowotarskiem. Skałki, gęsto rozsiane do niedawna po okolicy, znikły. Ostały się tylko dwie, ale niezrównanie osobiwe. To wymienione już skałki nad Białą i samotna, widoczna zewsząd „Cisłowa Skała“, stercząca jak świadek dawnych turni i iglic wapiennych.

Teraz będziemy szli blisko milę ku zachodowi, nim zetkniemy się z naszymi skałkami. Tam wyglądają one inaczej. Niema tu gór wysokich; teren lekko falisty nie ukaże nam potrzaskanych turni i iglic, które widzieliśmy koło Lubowni lub Szczawnicy. Skałki Szaflarskie to

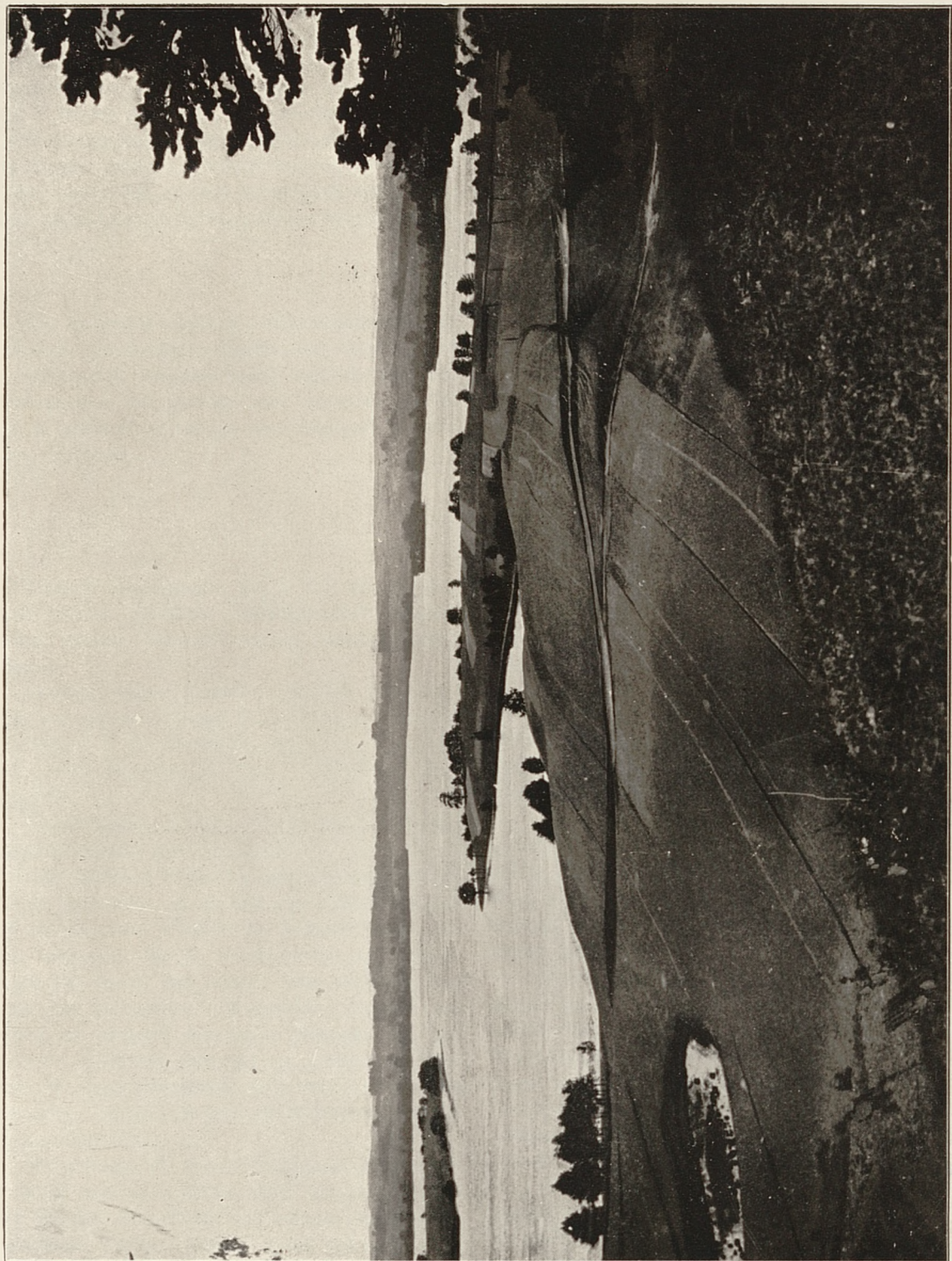
grupa niewielkich, leśnionych wzgórz, a wapienie widoczne są jedynie z pod osłony gleby i wegetacji; tworzą ścianki na bardziej stromych zboczach.

Niestety przebieg ich możemy śledzić na przestrzeni kilku zaledwie kilometrów, gdyż później następuje przerwa tam, gdzie mamy jednostajną orawską równinę, okrytą zatorfionami granitowymi morenami lub zwirowi-



SKAŁKA HOMOLOWACZKO MIĘDZY LUBOWNIĄ A KREMPAKIEM. fot. St. Zuber.

Warstwy facies skamielinowej.



Jezioro Ukał, pow. Świeciański, widok z piłkaini pod Ginutanami.

skami rzeczniemi. Idąc dalej ku dolinie Orawy i Wagu, zejdziemy się znów z naszymi skalicami, które ciągną się wiele mil ku południowemu zachodowi na brzegu wapiennych Karpat.

Nie czas jednak zapuszczać się w dal. Nie obchodzi pogranicze polsko-spiskie i leżący na niem pas skałek pienińskich, różny wszystkimi wprost cechami od tego, co Polska posiada z łanów przyrody. Dla geologa i geografy jest on niezwykle zjawiskiem; badacz przyrody żywej zadziwia różnorodnością flory i fauny, bo lasy i łąki, ukryte wśród skał, dały schronienie niezliczonym formom świata organicznego.

*

Dla dawnych rycerzy i możnowładców były skalice niezdołanym siedliskiem, więc gdzie one występują, widzimy ruiny starych warowni, świadczących, jak wielką rolę odgrywała niegdyś w historii ta smuga rozpostartych głazów i płyt skalnych.

II.

Skalice wysuwające się z pod ziemi, sterzące pośród gładkich, zaokrąglonych wzgórz i dolin, musiały zwracać na się uwagę każdego badacza.

Wielkie zajęcie budziła nie tylko ich odrębność od gór otoczenia, lecz również i ich występowanie w wewnętrznej części karpackiego łuku — od Morawy po Cisę i dalej po Siedmiogród.

Posłuchajmy co mówi o nich Staszic w swem „Ziemiorodztwie gor Karpatow“¹⁾.

„Na miejscu owych z góry widzianych jakichś rozwalisk, są to różnego kształtu po polach rozstawione wielkie, na kilkaset stop mające, wapienne skały. Jedne stoją jak ściany, drugie jak stołpy lub wieże, inne jak dwie skały na pół przeprute. Wszystkie chociaż się z sobą nie stykają, wszystkie przecież od gor Kordus i Żuberski gran aż za Czerwony Klasztor, w ciągu kilkunastu mil, wszystkie stoją w jednym rzędzie, w jednym kierunku, jaki ma łańcuch Tatrow.

Po pilnem ich rozważeniu przekonałam się, że to są ostatki z jednej całej wielkiej ciągłej góry między ościennym łańcuchem Lubni i pierworodnemi Tatry. Jest tu przez jakiś gwałtowny pęd wod zburzenie i wyniesienie ogromnej góry wapiennej do dziesięć mil niegdyś tu rozciąga-

jącej się, która wysokością Muron i Hawran, do 4 tysięcy stop wyniosłym, równała“.

Po wyliczeniu dawniejszych skalic, pisze Staszic dalej:

„I te turnie tak poprute, tak porozwalane przy Czerwonym Klasztorze, świadczą oczywiście, że i one z nią robiły niegdyś jedną skałę, jak dotąd mają jeden rod wapienia; że one z niej jeszcze dotąd nainaczej dochowiają ostatki.

Zburzenie to zdziałane zostało przez jakiś gwałtowny pęd czyli spadek wod...“

*

Blisko wiek cały trwa ten pogląd i znajduje swój wyraz ostatni w teorii genezy skałek Uhliga.

Poza tem tłumaczeniem mamy szereg innych wyjaśnień. Dopatrywano się związku między skalicami a powstaniem wulkanów północno-węgierskich, co nasuwało przypuszczenie plutonicznego wypiętrzenia skalic.

Dla innych znowu badaczy były skałki utworami rafowemi.

Gdy szczegółowe badania orzekły, że skałki tworzą samodzielne tektoniczne zjawiska, nie wiążące się z sobą, wtedy nasunęła się konieczność zgodnego z faktami wyjaśnienia genezy naszego pasa.

I tu widzimy hipotezę, przypisującą kruchości wapieni powstanie rozrzuconych złomów, które w czasie górotwórczych faldowań wysunęły się spękane z głębi ziemi, wyzierając z pod młodszych warstw.

Zamyka pogląd Uhliga szereg teorii „turbulencyjnego“, „autochtonicznego“ powstania skalic, przyjmujący istnienie w głębi ziemi dawnej formacji górskiej, której rozmyte szczyty wystają z wzajemną niezgodnością ponad pokrywają kredową.

W topograficznym opracowaniu skalic wzięli udział przeważnie niemieccy geolodzy i nazwiska Stura, Stachego, Neumayra, Uhliga i innych złączyły się z dziejami przez nich badanego pasma. Poznanie geologiczne budowy skalic zawdzięczamy obcym, gdy Polacy poza Zejssnerem mniej poważnie przyczynili się do onych badań (Zaręczny, F. Krentz i in.).

Ostatnie lata przyniosły ze sobą nowe poglądy; widzimy tu żywy udział Polaków w pracy nad wyjaśnieniem genezy pasu.

Dyskusję wznowiły poglądy Francuza, Luggerna — ostatnie prace nasze zawdzięczamy W. Kuźniarowi i Limanowskiemu. Dzięki ich pracom ustalono obecnie fakt płaszczowinowej genezy skalic, t. j. że skałki nie są autochtonowe, lecz zostały nasunięte zdala, z południa i nie tkwią w miejscu, jak dawniej sądzono.

¹⁾ Ks. St. Staszic „O Ziemiorodztwie gor Karpatow“ 1815. Rozdział II p. t. „O Beskidach“, str. 92—93.

Najnowsze badania wykazały, że stosunki lat ubiegłych należą do historii, dziś zbliżamy się do rozwiązania kwestyi skałkowej; dzięki pracom polskich badaczy.

*

O ile opracowanie stratygrafii warstw skałkowych zawdzięczamy obcym, o tyle inaczej przedstawiają się stosunki, gdy chodzi o florę i faunę.

Brak nam coprawda monografii z tych działów przyrody, dzięki jednak wytrwałości naszych fizyografów, botaników i zoologów mamy liczne rozprawki i spisy dotyczące flory i fauny Pienin lub zachodniego Beskidu.

Publikowano te prace przeważnie w Sprawozdaniach Komisji Fizyograficz. lub (spisy Chałubińskiego) w Pamiętniku Fizyograficznym warszawskim.

Znane są badania mchów i porostów Pienin dokonywane przez J. Krupę, Rehmana, Boberskiego i in. koło 1880 roku, a dawniej przez Chałubińskiego, wreszcie Filarszkyego, Węgra.

Odkrywano w skałkach nowe gatunki rzadkich roślin, jawnokwiatowych osobliwości europejskich. Spisy flory przynosiły nam coraz nowe, coraz ciekawsze wiadomości, więc wspomnieć należy o pracach Pechmanna, wreszcie o spisach roślin Zubrzyckiego, Gustawicza i wspomnianego już Filarszkyego, o dziele o flo-

rze Karpat Paxa, Niemca, lub rozprawach florystycznych Wołoszczaka.

*

Gdy chodzi o faunistyczne wiadomości, spotkamy się z brakiem badań, ściśle trzymających się Pienin, przy szukaniu znajdziemy jednak wśród prac, dotyczących zachodnich Karpat, dość wzmianek o naszym terenie.

I tak owadami zajmował się niestrudzony Nowicki; dr. Sitowski zaczął monograficznie opracowywać faunę motyli, materiału znowuż porównawczego dostarczyły nam spisy Schillego (Fauna lepidopterologiczna doliny Popradu), wreszcie wiele ciekawych wzmianek znajdziemy w spisach Smreczyńskiego (pluskwiaki polskie) prof. Wierzejskiego i w innych nielicznych pracach z tego zakresu. O faunie kręgowców dowiadujemy się z rozpraw dr. Polińskiego (gady i płazy), Karlińskiego (ptaki), dr. Niezabitowskiego (ssaki i ptaki doliny Popradu).

*

Powyższy przegląd pozwala nam na po-
bieżne poznanie i rozpatrzenie się w materyale, jakiego dostarczyć nam mogą Pieniny. Posiadamy szereg luźnych prac fizyograficznych o żywej przyrodzie Pienin, z których w braku obszernej monografii czerpać musimy wiadomości o faunie i florze pasma. Z geologią nie-
trudno nam się zapoznać, bo tu istnieje po-
ważna ilość monografii, ułatwiających pracę.

C. D. N.



B. Janusz.

Z wycieczek po Brzeżanach i okolicy. 2)

Prześliczny dworek oglądaliśmy przy drodze, prowadzącej do cmentarza, tuż obok szpitala wojskowego; cały zanurzony w zieleni zwraca się ku ulicy pięknym występem, wspartym na kolumnach kamiennych, połączonych od góry ładnie sklepionym łukiem — nad tem wszystkiem szlachetny w swych powabnych liniach mansardowy daszek gontowy, uwieńczony charakterystycznym kominem daszkowym. O lep-

sze rywalizuje z nim sąsiedni domek, którego piękność potęgują jeszcze schodki z dzikiego kamienia, prowadzące kilkoma stopniami ku wejściu, osłoniętemu występującym daszkiem, wspartym na wspaniałych swą poważną prostotą słupach kamiennych, zwieńczonych również pięknym łukiem. Wychylająca się z istnego gąszczu środkowa partya dworku z bajecznymi schodami, pysznym występem na słupkach z da-



BRZEŻANY. ZAMEK I KAPLICA

fot. B. Janisz.

szkiem gontowym, tudzież z malowniczym kominem, to rzecz tak piękna, iż oczu oderwać odeń nie można. Do środka nie chciałem zaglądać, obawiając się usłyszeć, co nierzadko słyszałem przy sposobności podobnej; „tak, mieszkam tu jeszcze, bo ciężkie czasy, grosza nie ma, ale kiedy da Bóg lepiej, pobuduję się ładniej, bo i wstyd człowiekowi mieszkać w takiej ruderze“. Stara to bajka, ale prawdziwa! „Ładniej się pobudować“ to znaczy wznieść prostokątne pudło, nie to stajnia, ni obora, po bić je blachą błyszczącą, „przyzdobić“ gipsowymi cudnościami i jednym słowem, nie potrzebować zazdrościć szczęśliwшему sąsiadowi, co dawniej już posiadał te wszystkie pyszności. Tak, dzisiaj „piękne“, co innego znaczy niż ongi za dawnych, dobrych czasów, kiedy ludzie umieli być jeszcze szczęśliwymi, z drzewa nie robili muru, a z gipsu marmurów.

Przy tej to ulicy cmentarnej, najpiękniejszej w całych Brzeżanach, bo najmniej jeszcze zeszpeconej „gmachami“ piętrowemi, nie jedną rzecz ładną zobaczyć można. Nieco wyżej, po lewej stronie drogi, uderza widok skromnego domeczku, wzniesionego na podmurowaniu z dzikiego, omszonego kamienia — podmurowanie ujęte w górze balaską żelazną, a opodal niego olbrzymi przepyszny kasztan. Domek ten z podmurowaniem swem i najbliższym sąsiedztwem prześlicznego kasztana, to rzecz tak ładna i malownicza, iż nie często widzieć można coś równie pysznego, równie powabnego i szczego.

Nim dojdziemy do cmentarza, spostrzegamy naprzód nadzwyczaj malowniczy niewysoki mur z dzikiego kamienia, pławiący się w zieleni, a zdobny od góry w rozłożyste korony lip, dębów i wiązów — piękna to również rzecz, zasługująca na uwagę. Cmentarz sam całkiem ładny. Najdawniejsze pomniki sięgają ledwie początków XIX w., ale też i one tylko należą do ładniejszych — są to przeważnie biedermajerowskie urny, strzaskane kolumny, anioły płaczące, wieńce i festony i wogóle symbole, cha-

rakterystyczne dla tej epoki. Z nowszych bardzo ładną rzeczą jest grobowiec ś. p. Madeyskiej, przedstawiający anioła klęczącego — rzeźba w kamieniu, która bardzo wiele zyskuje na malowniczości, otulona we wszystkich szczelinach i załamach miękkim mchem zielonym. Piękny jest tylko pomnik sam, bo balaska żelazna całkiem nie jest doń dostrojona. Szukałem grobowców Ormian, którzy niegdyś w Brzeżanach mieszkali, ale nie udało mi się natrafić na nie; znalazłem natomiast słup kamienny z napisami węgierskimi. Dawniejsze grobowce mają przeważnie napisy niemieckie, dopiero od połowy XIX w. pojawiają się polskie i ruskie i te dziś jedynie są panujące, chociaż niestety najmniej chyba odznaczają się kształtami jako tako estetycznymi.

Tuż w sąsiedztwie „bożej roli“ po przeciwnym boku drogi, rozlega się obszerny cmentarz żydowski, niezmiernie ciekawy i malowniczy, zwłaszcza w swej części starożytnej. Wielkim nastrojem przemawia do widza stary cmentarz gminy lwowskiej, ale w zawody może iść z nim śmiało zbiór całych setek płyt i kamieni grobowych, złożony przez kilka wieków na cmentarzysku brzeżańskim. Widzieć tam można całe szeregi fantastycznie zwichrzonych przez burze i deszcze pomników, zarośniętych zielskiem i trawami, a oplątanych do tego całą siecią krzewów i gąszczu tak, iż tylko poprzez wolne gdzieniegdzie miejsca zajrzeć można do wnętrza, powstałych w ten sposób istnych labiryntów. Spokoju wiecznego złożonych tu zmarłych nie zakłóca nawet krok ludzki, bo nie ma takiego śmiałka, coby ważył się narażać na dotkliwe kolce ostrężyny, jad wybujałych pokrzyw i ukłucia szypszyny, stojących od lat już na straży pokoju grobów. Obroniły się skutecznie od pieczołowitości ręki ludzkiej i z całym zaufaniem oddały się władztwu przyrody długie szeregi kamieni, zdobnych w przedziwnie rzeżane korony królewskie, pyszne świeczniki, drzewa strzaskane, kory fantastyczne, przedziwne jelenie i t. p. symbole wschodu. Powierzchnię płyt wszystkich obsiadły mrowiem znaczki kańciaste, zamykające niezrozumiałą swą mową dzieje i kroniki gminy brzeżańskiej chyba od początku świata. Próbowałem wyrwać im najciekawsze tajemnice, biedziłem się nad odczytywaniem długich tekstów, ale trafiałem tylko na całe litanie przedziwnych cnót i właściwości, jakimi pamięć zmarłych, często zapewne Bogu ducha winnych, obarczyli pamiętający o nich swojacy, pragnąc i sobie zasłużyć w ten sposób przynajmniej po śmierci na uznanie ludzi. Do dziejów jednak brzeżańskiej gminy starozakonnej znalazłby tu badacz niemało ciekawego materiału, o ile zechciałby podjąć się trudu odczytania wszy-

stkich napisów, przeważnie czytelnie i nieźle zachowanych, i wyłonił z pośród nich najważniejsze szczegóły. A i dla historyka sztuki żydowskiej pole tu znaczne do działania, a tem ponętniejsze, iż jeszcze przez nikogo nie ruszane. Ale nie w Brzeżanach chyba znalazłby się ktoś, kogoby to zainteresować mogło — przecacnych obywateli brzeżańskich całkiem inne sprawy zajmują.

Wspomnieliśmy, iż opisy Brzeżan uwzględniają wyłącznie kilka tylko renomowanych zabytków, do których oczywiście w pierwszym rzędzie należy zamek. Właściwie jednak, to jak inne pamiątki tutejsze, tak i on, nie posiada godnego siebie opracowania, albowiem autorowie, zajmujący się nimi, jeno historję uwzględnili pobieżnie—stronę zabytkową, architektoniczną i estetyczną całkiem się nie interesując, i pod tym względem oczekuje on jeszcze poważnego opracowania. A zabytek to istotnie piękny i ciekawy! W całości swojej niekoniecznie imponujący, szczegóły posiada wprost wspaniałe. Pięknie przedstawia się od ulicy Kolejowej, zwrócony do niej basztą okrągłą i zamurowaną dziś bramą, dawniej wchodową, z herbami kutymi w kamieniu. Obecnie na podwórzec zamkowy prowadzi inna brama, nadzwyczaj malownicza, w postaci mostu, przetrzonego z muru okólnego do baszty; rośnie na niej cały ogródek z wielkimi krzewami, co czyni ją podobną do pięknych łuków, które oglądać można przetrzone śmiało nad ulicami niektórych miast włoskich. Obok tej bramy, po lewej jej stronie wznosi się baszta, ukryta od dołu za domkiem obok stojącym, już w dziedzińcu zamkowym. I właśnie ta część, osłonięta dla widza przechodzącego przez podwórzec, należy do najpiękniejszych partyi w zamku; zachowały się na bramie starożytne obramowania kamienne u okien i oryginalny, również w kamieniu kuty portal renesansowy z bramą kutą żelazną. Obfite, jak sądzić można, dawniej rzeźby kamienne u okien i drzwi—widzieć można obecnie tylko w kilku miejscach, bo na ogół zniszczone zostały lub zamurowane i otynkowane. W baszcie tylko wspomnianej zacho-

wały się jakimś cudem nienajgorzej, dając pojęcie o tem, jak niegdyś cały zamek wyglądał. Ponieważ był on właściwie twierdzą, a nie pałacem mieszkalnym, więc nie dziw, że najpiękniejsze szczegóły, ozdoby i upiększenia umieszczono od wewnątrz, podczas gdy stronę zewnętrzną całkiem pustą pozostawiono. Od dziedzińca zdobi ją na wysokości drugiego piętra krążganek, a względnie ślady jego, oparte na słupach czworobocznych; pomiędzy tymi słupami, w lewym rogu dziedzińca, widać ślady wspaniałego portalu kamiennego, otynkowane i wapnem zarzucone, ale prawdopodobnie możliwe jeszcze do odczyszczenia i zrestaurowania. Warto o tem pomyśleć, bo rzecz to piękna i godna zachowania.

W dziedzińcu również ukrywa się perła prawdziwa, jaką jest sławna na całą Polskę kaplica zamkowa z licznymi pomnikami marmurowymi i metalowymi sarkofagami. Nie wesołe koleje przechodziła ona w wieku ubiegłym i dopiero w naszych czasach uprzątnięto ją jako tako z gruzów i ruiny; zrestaurowano, choć nieszczególnie, poobijane nosy, ręce i uszy posągów, odczyszczone wszystko starannie, położono nową posadzkę w miejsce dawnej zapadłej, odprowadzono kanałami podziemnymi wodę, zalewającą ciągle fundamenty, wzniesiono nowy ołtarz i przyozdobiono (całkiem zbytecznie i niepotrzebnie) ściany nie będącemi w żadnym stosunku do całości pstrokatemi „stacyami“ męki Pańskiej. Wszystkiego tego dokonano kosztem dzisiejszych właścicieli zamku, hr. Potockich, którzy nagrodzili w ten sposób niedbalstwo poprzedników swoich, wynajmujących kaplicę na skład wojskowy, a zamek na browar i baraki. Zastanawiającem jest tylko, dlaczego kopuł kaplicy nie pokryto blachą miedzianą, objając je tak przykro uderzają w oczy ordynarną blachą cynkową. O ile zyskałaby na wyglądzie estetyczniejszym i poważniejszym cała świątynia, gdyby usunięto przebrzydłą blachę, lśniącą jak na jakiej stajni zreformowanej (bo dawniej i stajnie bywały ładniejsze!), a tak nie zgadzającą się z monumentalnym charakterem mauzoleum sławnej rodziny Sieniawskich!

C. D. S.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Maryan Mechowicki.

Z podróży do Australii.

1)

Kraków, Wiedeń, Wenecya.

Gdy się z okna pociągu kolei Alpejskiej, prowadzącej z Tryestu do Wenecyi dokoła północnego brzegu Adryatyku, z wysokości kilkuset metrów ogarnie wzrokiem ten obszar ciemno-lazurowej toni, wiecznie żywej i ruchomej, podróżny omal nie wypatrzy oczu, powstrzymuje oddech, aby nie opuścić żadnego szczegółu na każdym zakręcie zmniejszających się widoków linii brzegowej; chętnie, zdawałoby się, skoczyłby w te nurty pomimo rannego chłodu na wyżynie, tak gościnne zapraszające wydają się fale — zdaleka przynajmniej — i... tak przykrą jest sprzeczka austriackiego Włocha z konduktorem o parę wyrazów niemieckich.

Gdyby go tak na kilka dni postawić w warunki Polaka z „Przywiślinja“, który maluczko a będzie mógł na kolejach swego kraju rozmówić się we wszystkich językach świata z wyjątkiem ojczystego!

Stopniowo nikną piękne brzegi, zjeżdża się śród przepoków i tuneli do Montfalcone, potem rewizya celna, jeszcze w dół, w dół, w nizinie stacya węzłowa, i skręcamy... nie, nie skręcajmy... perłę Adryatyku opisały już geniusze, talenty, Bedeckery, zwykli więc śmiertelnicy niech jadą przez równiny Lombardyi.

Na ich widok wędrowiec doznaje narazie rozczarowania. Gdzie jest ta okrzyczana nędza włoska, lazarońska wprawdzie, to znaczy dość wesola, ale bądź co bądź nędza. Później, w cudnych lecz ubogich okolicach Neapolu rzecz się wyjaśnia. Płaska jednostajna Lombardia to jeden ogród. Kultura rolna stoi tak wysoko, że z okna wagonu, jak okiem sięgnąć, widać tylko wspaniałe uprawne role.

W dolinie rzeki Po sieją ryż. Minąwszy Weronę z jej starymi fortami, któreby mogły dużo opowiedzieć o legionach polskich, kraj stopniowo podnosi się. Tor kolejowy przecina wszystkie lewe dopływy Po, niosące z Alp wielkie masy wody do rzeki-macierzy. Pracowity i rządny Lombardczyk oddawna sprostował ich koryta, zabezpieczył lany swoje od wylewów mocnymi wałami wzdłuż brzegów, do czego mówiąc nawiasem my conajwyżej wzdychać możemy — i bynajmniej nie spoczął na laurach. Obecnie cały kraj jest pocięty siecią kanałów, rozprowadzających wody rzek po łąkach i polach. Wprawdzie lekko pochyły charakter równiny względnie ułatwił zadanie, niemniej wymagało ono kolosalnego nakładu pracy. Niektóre kanały mają najnowszej konstrukcyi murowane szluzy.

Zresztą wyższa kultura widoczna jest na każdym kroku. Gdy u nas naprzykład chłop zna często jeszcze naturalny nawóz tylko w formie dołu z gnojówką i ściółką wyrzuconą z pod bydła, dołu wykopanego notabene na podwórku tuż pod oknami cha-

lupy, tam widzi się co chwila systematycznie tworzone pokłady kompostu, o którym p. Jankowski dopiero uczy naszych ogrodników.

Poza szeregi drzew morwowych i krzewu winnego osad ludzkich zupełnie nie widać. Gdzieś tam tylko wyjrzy jakieś szare, zacienione, często piętrowe domostwo, budynków jednak gospodarskich dopatrzeć się nie można.

Lud sposobem życia bardzo przypomina nasz: to samo obchodzenie się bez mięsa, to samo pobożne odnośnienie uciulanego grosiwa na ofiarę plebanowi, ostatnimi czasy zresztą mocno już osłabłe. Jakkolwiek w malarycznej nizinie ludek chodzi nieraz nie gorzej od naszego z koltunami na głowach, im wyżej jednak, tem jest piękniejszy, a zawdzięcza to swej niezrównanej wodzie. Patrząc na wiejskiego robotnika z Lombardyi z wysoko podwiniętymi rękawami koszuli, wyjaśnia się nagle niezaspokojone od dzieciństwa pytanie, kto służył artyście za model do chłopca, stojącego po prawej stronie od widza na znanym powszechnie obrazie „Przemienienie Pańskie“. Tak przebogatej kości chyba nigdzieindziej na świecie nie ujrzymy.

Medyolan ze swą słynną katedrą, pasażem Vittore Emanuela i obrzydliwymi szczurami, swobodnie spacerującymi po skwerku przed wielkim brudnym dworcem kolei; a potem znów dziesiątki mil ogrodu. Wreszcie zaczynamy zjeżdżać ku Genui.

Śliczne są Apeniny, pomimo że nie mogą się wysokością mierzyć ze szwajcarskimi a choćby tyrolskimi Alpami. Wyobraźmy sobie góry uprawne do samych szczytów, lucernę, sianą na tarasach pracą ludzką stworzonych. Z pastwiska wraca właśnie stado krów, wszystkie jednej maści: popielate o ciemniejszych bokach, doskonale wypasione. Olbrzym pasterz z długą białą laską, zagiętą u góry prawie jak pastorał, w fartuchu niebieskim i dużym czarnym okrągłym kapeluszu, poważnie kroczy przodem. Za stadem dziewczynina może 13-letnia wyplata coś ze słomy. Wążka ale doskonale utrzymana szosa wije się jak biała wstążka między zielonemi górami i mimowoli wywołuje westchnienie: o gdybyż to taka sama wiodła z Olkusza do Ojcowa!

Dwadzieścia trzy tunele, i oto jesteśmy na dworcu wielkiego portowego miasta Genui, wśród gwaru, hałasu i pokrzyków służby hotelowej, słowem prawie jak na kolei Fabryczno-Łódzkiej, z następującą tylko małą różnicą: dworzec jest wspaniały, od frontu zabudowany w półkole i zdobny w portyk o korynckich kapitelach. Na placu przed nim wielka grupa marmurowa — to pomnik Kolumba.

Pomników wogóle sporo w mieście: Garibaldi, król Humbert, Cavour. Ulice wąskie i czasem bardzo strome, miasto bowiem zabudowało się popro-

stu na urwisku. Tramwaje elektryczne w kilku miejscach mają zębaty tor. Oryginalne są zaprzęgi: wozy, tylko dwukołowe, ciągnie 3, 4, czasem pięć mułów i koni, idących gęsiego z nieustannym pobrzękiwaniem dzwonek. Całość miasta robi bardzo sympatyczne wrażenie, kobiety od rana do nocy rozspiewane, a tak piękne — mała liczba niemalowanych — że wreszcie zaczyna się odczuwać wyraźny zawrót głowy; śpieszmy więc do portu.

Proszę nie uważać za przesadę, gdy powiem, że port genueński robi wrażenie kaluży. Woda w nim nie grzeszy coprawda także zbytnią czystością, ale głównie przykry jest ten okropny tłok, jaki tam panuje. Brzegi wyłożone są olbrzymimi blokami kamiennymi, i wielkie statki oceaniczne mogą stać tak, że prosto z łądu można wskoczyć na pokład. Lecz mimo to miejsca pozostaje homeopatycznie mało i posuwać się przez port trzeba z wielką ostrożnością.

Wolno też i ostrożnie, podciągany na linach przez dwa małe parowce portowe, wykręca się i przeciska nasz statek do wyjścia. Wreszcie wyjeżdżamy na stronę, i oto otwiera się przed nami wspaniała panorama. Hen na wyżynie cztery wielkie szare zameczyska, przez Genueńczyków zwane castellaci, od morza pnie się w górę miasto, co w awangardzie tego pochodu do starych fortec postawiło sobie castelleto — zameczek, a ten zdążył już cały porość jakimś wielkolistnym pnączem. Gdy się przytem pomyśli, że tu ujrzał światło dnia człowiek, co potęgą charakteru przemógł wszelkie przeszkody, jakie niewątpliwie w wieku feudalizmu piętrzyły się przed dzieckiem drobnomieszczańskiej rodziny na drodze do osiągnięcia wymarzonego celu — odczuwa się jakiś szacunek przed tym majestatycznym miastem, jakiego wielkie stolice świata nie budzą, i to wrażenie pozostaje na zawsze.

*

Pierwszy raz na morzu. Pełnia nieznanych wrażeń. Dzień jest cokolwiek pochmurny, ale spokojny, więc fale są drobne, a największe tworzy nasz statek, energicznie prujący toń. Kolor wody przy takim oświetleniu jest stalowy, tylko za statkiem ciągnie się jakby droga lazurowa. To biała piana, tworzona ruchem śrub, zostaje przez ich skrzydła wtłoczona pod wodę i prześwietla ją.

Stopniowo niebo się wyjaśnia i kolor morza zmienia się, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej: jak wzrok sięgnie, wszędzie przeczysty lazur; tylko tam wdali, gdzie brzeg płaski, woda

jakoś odmiennie wygląda. W godzinę sprawa staje się oczywistą — to ujście rzeki Arno; jej słodkie wody kilka wiorst od łądu jeszcze niedość się zmieszały z morskimi, mają zabarwienie zielonkawe, znacznie jaśniejsze, a nawet zbliżka widoczna jest zupełnie wyraźna linia graniczna dwu różnych barw. W jakiś czas fale coraz bardziej drobnieją, a z dziobu statku widać także przestrzenie całkiem gładkie, jak tafle lustrzane, również wyraźnie odcinające się od pomarszczonych. Duże żaglowe łodzie rybackie parami, trójkami, czwórkami ciągną sieci w różnych kierunkach; jest ich pewno ze sto, jeżeli nie więcej.

Nazajutrz już przed wschodem słońca jesteśmy znów na pokładzie i istotnie nie żalujemy ранego wstania. Statki, idąc z Genui do Neapolu lub odwrotnie, objeżdżają zwykle dookoła grupę wyseppek, rozsypanych tuż na północ od zatoki Neapolitańskiej. Zabiera to parę godzin czasu, starzy więc marynarze, jak nasz kapitan, znający dobrze drogę, prostują ją sobie, płynąc między archipelagiem. Piękne są te wysepki zielone, porośnięte najszlachetniejszymi gatunkami lozy winnej, ślicznie odbijające w lazurowej głębinie, podobno najeżonej podwodnymi skalami. To też statek nasz robi coraz to jakiś zwrot, co nam pozwala tem lepiej oglądać piękną krajobrazu. Tam wysokie strome brzegi statego łądu, w nich tu i owdzie naturalne pieczary, niekiedy nad samą wodą. W górze przechodzi jakaś via, wykuta w skałe prawdopodobnie przez jeńców kartagińskich.

Ale oto i zatoka Neapolitańska. Na drugim jej krańcu Wezuwiusz, a w głębi na lewo port Neapolu, wygradzony potężnymi tamami z kamienia i cementu. Przy samym prawie wejściu doń spotykamy pięć delfinów, co chwila w całym pędzie wyskakujących z wody, szły jednak bokiem i przemknęły tak szybko, że nie można było przyrzyć się im bliżej.

Port jest obszerny, i niema tu tego tłoku, co w genueńskim. W jednym rogu stoi siedem włoskich statków wojennych — dwa wielkie i pięć mniejszych. Jeszcze parowca naszego nie ustawiono na dobre, kiedy obok niego zjawił się w wodzie obywatel w kąpielowym stroju, wielki drab — specjalista do wylawiania drobnej monety, i dość dzikimi okrzykami zaczął zachęcać podróżnych do wrzucania mu jej do wody, a każdą złapaną sztukę chował demonstracyjnie — do ust. Przyznam się, że nie oczekiwałem czegoś podobnego już tu, sądząc, że monopol w tym procederze pozostawiono półdzikim kolorowym mieszkańcom ziemi.

G. D. N.





Dnia 10/VI odbyło się miesięczne zebranie Oddz. w Zagłębiu P. T. Kr. z udziałem 65 członków. Referat „O Nowej Ziemi“ ilustrowany przezroczami wygłosił dr. A. Piwowar.

Najbliższe miesięczne zebranie odbędzie się 10 września.

Staraniem sekcji odczytowej w d. 17/V prof. Rutkowski wygłosił odczyt „O półwyspie Helskim“. Niestety publiczność nie dopisała i odczyt wygłoszony został przy bardzo małej ilości słuchaczy, a szkoda, gdyż tak ze względu na interesujący i aktualny temat jak i swadę prelegenta odczyt zasługiwał na uwagę.

Po przerwie wakacyjnej odbędą się trzy odczyty prof. Kopy: 1) „O średniowiecznym mieście pod względem artystycznym“, 2) „Zabytki architektury drzewnej“, 3) „Zabytki sztuki w Polsce“, oraz odczyt dyr. Sujkowskiego w połączeniu z koncertem przy współudziale „Echa Lwowskiego“ ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Kolberga. W celu zainteresowania sprawami Tow. członków, zamieszkałych w Dąbrowie, Groźcu, Niemcach i Saturnie, którzy z powodu braku komunikacji nie mogą być na zebraniach w siedzibie Tow., postanowiono po wakacjach urządzić w wyżej wymienionych miejscowościach zebrania miesięczne z odczytami.

W Żychlicach staraniem członka Zarządu p. Solnickiego wykopana została przystawka z grobu, a w Kamionce na Pogoni pod Będzinem wypadkowo odnaleziono w wapieniu na głębokości 10 m. przez p. T. Królikowskiego kość z pletwy gada morskiego „Notosaurus“.

Do przeprowadzenia badań archeologicznych w okolicy zaproszono p. Małkowskiego.

Sekcja wycieczkowa w r. b. zorganizowała następujące wycieczki:

22/II do Wieliczki z udziałem 67 osób;

17/V do Dąbrowy „ 29 osób;

6, 7 i 8/V do Warszawy uczeń szkoły Handlowej 25 osób;

31/V i 1/VI w Beskidy Zachodnie 33 osoby;

28 i 29/VI na Baranią górę do źródeł Wisły z udziałem 33 osób.

Za okazanie bezinteresownej pomocy na wycieczce w Beskidy Zarząd składa serdeczne podziękowanie członkom Tow. „Beskid“ w Cieszynie pp. Buzkowi, Kotasowi, Zabawskiemu, Ekiertowi i Szutkowskiemu.

Projektowane są następujące wycieczki: 12/VII do Tęczyna, 19—22/VII w Tatry, 26/VII Św. Anna, 15—16/VIII do Buska, 30/VIII do Złotego Potoku, 8/IX na Klimczuk, 20/IX do Smolenia, 4/X do Rabsztyna i 19/X do Oświęcimia.

+ W Oddziale Grajewskim P. Tow. Kraj. w ubiegłym półroczu do 1 stycznia do 30 czerwca 1914 r. odbyło się jedno posiedzenie ogólne dla wyborów i ukonstytuowania się władz Oddziału, oraz 5 posiedzeń miesięcznych, przeważnie poświęconych sprawom bieżącym, zapoznaniu ogółu członków

z działalnością innych oddziałów i Centrali, uchwałamijazdów, obowiązującymi oddziały, omawianiu wycieczek i t. d. Na jednym z posiedzeń odczytane były odczyty „Goplo“ i „Suwalszczyzna“, zilustrowane przezroczami. Frekwencja wahała się od 15—20 osób.

Odbyto następujące wycieczki: 1) Do jeziora Toczyłowskiego, 2) do jeziora Miruckiego, 3) do Syby (Mazury Pruskie), 4) do Ossowca i Goniądza, 5) do Rajgrodu, 6) do jezior Mazurskich (w Prusach Wsch.), 7) do Rydzewa, 8) do Tworek i jeziora Rajgrodzkiego. Wycieczki miały charakter przeważnie majówkowo-turystyczny. Uczestnicy jednak uswiadamiąją sobie ten brak i nie tracą nadziei, że stopniowo przejdą do wycieczek istotnie krajoznawczych. Udział na wycieczkach wahał się od 10 do 15 osób.

oooooooooooo

Ze stowarzyszeń.

+ Na LXI posiedzeniu w d. 24 lutego 1914 roku *Wydziału Konserwatorskiego Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości* omawiano następujące sprawy.

Kościół w Złotnikach (pow. jędrzejowski). Rozpatrzone przedstawiony do oceny przez p. Kudera i przez niego wykonany szkic na powiększenie kościoła, zbudowanego w 1666 r. przez opata jędrzejowskiego, Denhoffa, a odrestaurowanego gruntownie w 1841 r. Projekt p. Kudera, zachowujący niezmienną część prezbiteriałną kościoła wraz z wieżą, ciekawą dla swego niezwykłego wyglądu i połączenia w szczegółach z kościołem, uznano za odpowiedni dla zachowania ogólnego widoku zabytku i za nadający się do wykonania, zastrzegając jednak zachowanie pięknej, architektonicznie wartościowej bramy w ogrodzeniu kościoła.

Freski w katedrze sandomierskiej. P. Frycz odczytał wyczerpujący referat ks. kan. Rokosznego, ilustrowany zdjęciami fotograficznymi fresków przed i po restauracji. We wstępie autor przypomina przypadkowe odsłonięcie fresków, oraz zdania o nich Łukaszevicza, przypisującego je epoce Kazimierza Jagiellończyka, jak również własne, przypisujące je, na podstawie wzmianki Długosza, epoce Władysława Jagielly. Następnie autor opisuje z drobiazgową ścisłością poszczególne obrazy, opierając opis swój na poważnych studiach historycznych, poczem rozpatruje raz jeszcze i jak najszczegółowiej pytanie, dotyczące epoki powstania malowideł, tudzież dzieje ich od chwili powstania aż do czasów obecnych. Do referatu tego dodaje p. Frycz szereg uwag o freskach sandomierskich pod względem malarskim i restauratorskim, opartych na studiach podczas wykonywania restauracji.

W dyskusji, która się wyloniła, p. Markiewicz zwrócił uwagę na podobieństwo fresków sandomierskich do malowideł w dawniejszym klasztorze św. Trójcy (obecnie więzieniu) w sąsiednim Lublinie. Szczegóły rytualne na freskach dowodzą, iż są one pochodzenia prawdopodobnie wileńskiego. Dokonana restauracja świadczy o nadzwyczajnym pietyzmie wykonania i doskonałym wyczuciu i zrozumieniu charakteru linii bizantyjskich.

oooooooooooo

Nowe książki.

B. Janusz — Człowiek przedhistoryczny. Nakładem M. Arcta, Warszawa 1914. Z 45 rysunkami w tekście str. 128.

Przenikanie czyli popularyzowanie się niektórych nauk przychodzi u nas z trudnością. Zwłaszcza nauka, badająca rozwój gatunku „człowiek“, dostępna była tylko gronu wybranych. Aby temu zaradzić, ruchliwa firma M. Arcta wydała pracę p. Bohdana Janusza „Człowiek Przedhistoryczny“. Na 124 stronicach bardzo umiejętnie zapoznaje nas autor z wiadomościami, które zdobyła dotychczas nauka o gatunku „człowiek“, a następnie rozwija przed nami obraz okresów archeologicznych, w których „człowiek“ wypracowywał stopnie jego ówczesnej kultury, narzędzia, oręża, naczynia, światopoglądy i związane z nimi rytuały grzebalne lub obrzędy, przypadające w rozlicznych momentach życia. Kolejno roztacza autor przed nami: „Najdawniejsze ślady człowieka“ „Starszy okres kamienny“ „Młodszy okres kamienny“ „Okres bronzowy“ „Epokę hallstadzką“, a kończy na okresie lateńskim. Podaje przytem literaturę każdego okresu. Książeczkę zamyka „Podział okresów przedhistorycznych“. Żądny wiadomości o rozwoju swego „gatunku“ czytelnik znajdzie w pracy p. B. Janusza wiele wiadomości interesujących, a naukowo umotywowanych. Należy podnieść dobre opracowanie przedmiotu i staranność wydawcy, który dostępną szerokim masom książeczkę wyposażył w 45 rysunków, ułatwiających orientowanie się w typowych zmianach, jakim ulegały rozwijające się stopniowo w okresach wielowiekowych ewolucji i myśli wytwory ręki i ducha człowieka.

Wypada jednak zapytać, dlaczego np. na str. 122 wizerunek rytualny giętego miecza żelaznego,

ostrogi i umba od tarczy, przerysowane z t. XXIII, t. X Materiałów antropol.-archeologiczno-etnograf. A. U. w Krakowie z pracy M. Wawrzenieckiego nie zostały opatrzone objaśnieniem, iż pochodzą z Komorowa pod Rawą Mazowiecką (autor na str. 88—99 czyni podpisy takie z wymienieniem miejscowości w Galicji?)

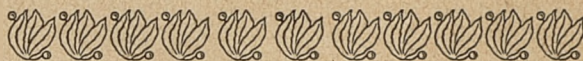
Informacja taka zapewne pracyby nie zaszkodziła, a polskiego czytelnika pożytecznie poinformowała.

M. Wawrzeniecki.

oooooooooooo

Odpowiedź Redakcyi.

Prenumeratorowi. Wydawnictwem powieści nie zajmujemy się; niech kolega Pański zwróci się do jakiejś firmy wydawniczej.



MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ ROBOTY

POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



Od Administracyi.

Prosimy sz. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III.

TREŚĆ: *S. Matusiak* — Koń w naszych wierzeniach ludowych (dok.). *J. M. G.* — Wzmianka o Bazalii na Wołyniu (z 1 ryc.) (dok.). *Ludwik Stasiak* — Wsie Stwoszków na Śląsku (z 1 ryc.). *Stanisław Zuber* — Pasma skałek Pienińsko-Nowotarskich (z 4 ryc.). *B. Janusz* — Z wycieczek po Brzeżanach i okolicy (z 1 ryc.) (c. d.). Z naszej turystyki. *Maryan Mechowicki* — Z podróży do Australii. — Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Odpowiedź Redakcyi. — Wkładka: Jezioro Ukaj, pow. święciański, widok z pilkalni pod Ginutanami.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**